

Londyn z czasów PRL

10 lipca 2011

Jak żyło się w Londynie 20-30 lat temu? Kto pamięta kameralne puby z kominkami na Alperton, gdzie siadywali rodowici Anglicy albo czasy, gdy można było palić nie tylko w metrze, ale i w piętrowych autobusach?

W dawnych spokojnych latach, Londyn przypominał trochę polskie małe miasteczko. Znało się sąsiadów, można było przystanąć i pogadać spokojnie. Znało się nie tylko menadżera banku ale też sklepikarzy, a właściciel lokalnego warzywniaka znał twoje warzywno-owocowe preferencje. Nikogo nie kręciło socjalne życie na Facebooku, a jak się chciało poderwać dziewczynę czy chłopaka szło się do centrum sztuki np. do barbakanu (Barbican Centre) by przy kawie przed spektaklem lub w czytelni zawiązać nici znajomości.

Dawno, dawno temu zdolność kredytowa zależała od managera lokalnego banku a nie od kilku kliknięć myszką, znudzonego acz uprzejmego pracownika banku. Jeszcze do lat 1990. można było uzyskać kredyt, jeżeli tylko nie podpadło się bankowi a manager znał cię kilka lat. Wystarczył dobrze skrojony garnitur, by otworzyć sobie konto na wizytówkę. Bo i niby, w jakim celu, ktoś miałby oszukiwać, myślał sobie pocziwy manager banku i otwierał konto na wydrukowane na wizytówce nazwisko. W kraju, gdzie do dzisiaj nie ma dowodów tożsamości, jeżeli ktoś nie miał paszportu ani prawa jazdy i nie jeździł za granicę, miałby kłopot z udowodnieniem komuś swojej tożsamości. Ale nie musiał udowadniać. Wystarczało, jak mówił, że nazywa się Zbig Kowalski.

Do rangi dowodów osobistych urastały w tamtych dobrych czasach imienne rachunki za gaz czy telefon. Wystarczyło okazać taki rachunek w urzędzie dzielnicowym, by uzyskać odpis aktu urodzenia, który z kolei był niezbędny do uzyskania paszportu. Przełomowe lata 1990., gdy komputery nie wkroczyły jeszcze do

urzędów a wszelkie wartości oparte na uczciwości upadły, naznaczone zostały lawinową ilością przekrętów i oszustw. Jeden z moich sąsiadów wyrobił sobie paszport, na podstawie aktu urodzenia, który uzyskał podając dane rówieśnika, którego nekrolog przeczytał w walijskiej gazecie, podczas wakacji.

Jazda na górze w piętrusie po Oxford Street czy Piccadilly z papierosem w dłoni była czystą przyjemnością w tamtych czasach. Można było poczuć się wtedy Londyńczykiem pełną gębą. Tak samo można było poczuć się w drugim lub przedostatnim wagonie metra z papierosem w dłoni, czytając gazetę albo obserwując dyskretnie pasażerów. Dziwiło mnie, iż wszyscy zgniatali niedopałki na podłodze. „Gdybyśmy wyrzucali śmieci do koszy, zabieralibyśmy pracę tym, którzy jej potrzebują” – wytłumaczył mi kiedyś znajomy Anglik. Czyżby ten sposób myślenia doprowadził do tego, że dzisiaj setki tysięcy Polaków pracuje w krainie Albionu, wykonując prace, które Anglicy z czystej – rzekłbyś – skromności, pozostawiają tym, którzy akurat jej potrzebują?

Autor: Robert Alexander Gajdziński

Źródło: [eLondyn](#)